

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



*DIDEROT*

# ZAKONNICA

Tower Press 2000  
Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

*Przekład WACŁAWA ROGOWICZA*

Tytuł oryginału:  
„LA RELIGIEUSE”

## I

Odpowiedź pana markiza de Croismare, jeżeli ją otrzymam, dostarczy mi wstępnych słów do tej opowieści. Przed napisaniem do niego zapragnęłam go poznać. Jest to światowiec; zdobył rozgłos w służbie wojskowej; jest podeszły w latach, był żonaty, ma córkę i dwóch synów, których kocha i jest przez nich czule kochany. Wysokiego rodu, światły, dowcipny, wesoły, ma gust do sztuk pięknych, a nade wszystko jest oryginalny. Wysławiano mi jego wrażliwość, jego honor, jego prawość; z żywego zainteresowania się moją sprawą i ze wszystkiego, co mi o nim powiedziano, osądziłam, że się bynajmniej nie skompromitowała zwracając się doń: ale nie należy mniemać, że zdecyduje się odmienić mój los nie wiedząc, kim jestem, i ten powód skłania mnie do pokonania mej miłości własnej i odrazy, w chwili gdy biorę się do pisania tego pamiętnika, gdzie opisuję część moich nieszczęść, bez talentu i bez kunsztu, z naiwnością właściwą memu wiekowi i ze szczerością, jaka cechuje mój charakter. Ponieważ mój protektor mógłby domagać się kiedyś zakończenia tego pamiętnika lub mnie samej mogłaby przyjść fantazja, aby to uczynić wtedy, gdy nie mogłabym sobie uprzytomnić odległych już wydarzeń, pomyślałam sobie, że streszczenie, które ten pamiętnik zamyka, i głębokie wrażenie, jakie te wydarzenia pozostawią we mnie do końca życia, wystarczyłyby mi, abym przypomniawszy sobie je dokładnie.

Ojciec mój był adwokatem. Poślubił moją matkę w dość późnym wieku, miał z nią trzy córki. Posiadał większy majątek, niż było potrzeba, aby je dobrze wydać za mąż, ale na to należało co najmniej, aby jednakowym uczuciem darzył wszystkie swoje dzieci; dużo zaś brakuje, abym go mogła pochwalić w tym względzie. Z pewnością przewyższałam swoje siostry powabami umysłu i postaci, charakterem i zdolnościami i wyglądało na to, że moi rodzice są tym strapieni. Ponieważ przewaga nad siostrami, jaką zawdzięczałam naturze i pilności w nauce, stawała się dla mnie źródłem zmartwień, więc aby być kochana, pieszczona, obdarowywana, zawsze usprawiedliwiana jak one, od najmłodszych lat pragnęłam być podobna do nich. Jeżeli zdarzało się, że ktoś powiedział do mej matki: „Ma pani urocze dzieci”, nigdy to nie stosowało się do mnie. Czasami bywałam pomszczona za tę niesprawiedliwość, ale otrzymane pochwały kosztowały mnie tak drogo, gdy zostawaliśmy sami, że wolałabym obojętność lub nawet obelgi; im bardziej wyróżniali mnie ludzie obcy, tym więcej było kwaśnych humorów w domu, gdy sobie poszli. O, com się nieraz napłakała, że nie urodziłam się brzydka, tępa, głupia, pyszna, słowem, że nie mam wszystkich wad, które moim siostrom zapewniały względy u naszych rodziców! Zastanawiałam się, skąd się brało to dziwactwo w ojcu, w matce, ludziach zresztą porządnych, rzetelnych i nabożnych. Czyż mam to panu wyznać? Kilka powiedzeń, które wymknęły się memu ojcu w gniewie, bo był porywczy; pewne okoliczności, jakie zestawiałam sobie w różnych odstępach czasu, odezwania się sąsiadów, gadanina służby kazały mi podejrzewać przyczynę, która by rodziców nieco usprawiedliwiała. Być może, mój ojciec miał jakieś wątpliwości co do mego urodzenia; być może przypomniałam matce błąd, który była popełniła, i niewdzięczność człowieka, któremu zbyt ulegała; bo ja wiem? Ale gdyby te podejrzenia były bezpodstawne, co bym ryzykowała, zwierając się z nich przed panem? Pan spali to pisanie, a ja przyrzekam spalić pańskie odpowiedzi. Ponieważ przyszliśmy na świat w krótkich odstępach czasu, dorosłyśmy wszystkie trzy razem. Zjawili się konkurenci. O moją starszą siostrę starał się pewien uroczy młody człowiek; spostrzegłam, że on wyróżniał mnie i że jej osoba będzie tylko nieustannym pretekstem jego załatów. Przeczuwałam, jakie zmartwienia mogłyby ściągnąć na mnie jego względy, i uprzedziłam o tym matkę. Był to może jedyny postępek w moim życiu, który sprawił jej przyjem-

ność; i oto, jak zostałam zań wynagrodzona. W cztery dni potem, w każdym razie niebawem, powiedziano mi, że zamówiono dla mnie miejsce w klasztorze, i zaraz nazajutrz odwieziono mnie tam. W domu było mi tak źle, że to wydarzenie zgoła mnie nie zasmuciło i udałam się do Panny Marii, to mój pierwszy klasztor, w bardzo wesołym nastroju. Tymczasem młody człowiek, starający się o moją siostrę, nie widując mnie więcej zapomniał o mnie i został jej małżonkiem. Nazywa się pan M.; jest notariuszem i mieszka w Corbeil, gdzie tworzą oni nie-dobre małżeństwo. Moja druga siostra wyszła za niejakiego pana Bauchon, kupca bławatnego w Paryżu na ulicy Quincampoix, i żyje z nim dość dobrze.

Po wydaniu za mąż moich dwóch sióstr sądziłam, że rodzice pomyślą o mnie i że niebawem opuszczę klasztor. Miałam wówczas szesnaście i pół lat. Siostry moje otrzymały znaczne posagi; obiecywałam sobie podobny los do ich losu; miałam głowę nabitą ponętnymi projektami, gdy oto wezwano mnie do rozmównicy. Oczekiwał mnie tam ojciec Serafin, spowiednik mojej matki, a również i mój, toteż bez ogródek wyjaśnił mi powód swych odwiedzin: chodziło o namówienie mnie, bym przywdziała habit. Oburzyłam się na tę dziwną propozycję i oświadczyłam wręcz, że nie czuję żadnego powołania do życia zakonnego. „Szkoda, powiedział mi, gdyż twoi rodzice wykosztowali się na wyposażenie twoich sióstr i nie obrażam sobie, co mogliby dla ciebie zrobić przy tych ograniczonych środkach, jakimi teraz dysponują. Zastanów się nad tym, moje dziecko; trzeba albo wstąpić na zawsze do tego klasztoru, albo udać się do jakiegoś zgromadzenia zakonnego na prowincji, gdzie cię przyjmą za skromną opłatą; wyjdiesz stamtąd dopiero po śmierci rodziców, na co jeszcze długo możesz poczekać...” Gorzko się żaliłam i wylałam strumienie łez. Przełożona wiedziała o tej wizycie; czekała na mnie, gdy wróciłam z rozmównicy. Byłam w stanie rozstroju, którego nie sposób wyrazić. Zapytała mnie: „Co ci się stało, moje drogie dziecko? (Wiedziała lepiej ode mnie, co mi się stało.) Jak ty wyglądasz! Nigdy nie widziano takiej rozpaczki jak twoja, drzę cała. Czyś straciła ojca lub matkę?”

Chciałam odpowiedzieć, rzucając się w jej objęcia: „O! dałby Bóg!...”. Pohamowałam się i zawołam: „Niestety! nie mam ani ojca, ani matki, jestem nieszczęśliwą istotą, która budzi nienawiść i którą chce się zakopać tutaj żywcem.”

Przełożona przeczekwała wybuch. Gdy się nieco uspokoiłam, wyłożyłam jej wyraźniej, co mi przed chwilą oznajmiono. Zdawała się litować nade mną, żałowała mnie, zachęcała, bym nie poświęcała się stanowi, do którego nie miałam żadnego pociągu; obiecała, że będzie prosić, przekładać, robić starania.

O panie! jakie te przełożone klasztoru są przebiegłe! pan nie ma o tym pojęcia. Istotnie, napisała w mojej sprawie. Wiedziała, jaką dostanie odpowiedź, zakomunikowała mi ją i dopiero po długim czasie nauczyłam się wątpić o jej dobrej wierze. Tymczasem termin dany mi do powzięcia decyzji nadszedł; przełożona przysłała poinformować mnie o tym z doskonale wyuczonym smutkiem. Z początku milczała chwilę, następnie rzuciła mi kilka słów współczucia, z których zrozumiałam resztę. Odegrała znowu scenę rozpaczki. Niewiele innych scen będę miała do odmalowania panu. Umieć zapanować nad swymi uczuciami jest wielką sztuką tych kobiet. Potem powiedziała mi, doprawdy myślę, że nawet płakała: „A więc, moje dziecko, zamierzasz oto nas opuścić! Drogie dziecko, nie zobaczymy się więcej!...” – i inne jakieś słowa, których nie dosłyszałam. Wpół leżąc na krześle trwałam w milczeniu bądź wybuchałam łkaniem, albo siedziałam bez ruchu, lub wstawałam i to opierałam się o ścianę, to dawałam ujście memu bólowi na jej piersi. Oto, jak sprawy się miały, gdy ona dodała: „Ale czemu nie masz zrobić jednej rzeczy? Posłuchaj mnie, a przynajmniej nie wyrwij się z tym, że ja ci to poradziłam; liczę na niezmienną dyskrecję z twojej strony, bo za nic w świecie nie chciałabym, aby ktoś mógł mi zrobić jakiś zarzut. Czego od ciebie żądają? Żebyś wstąpiła do klasztoru? A więc, czemu nie miałabyś wstąpić? Do czego cię to zobowiązuje? Do niczego, do tego, byś jeszcze dwa lata spędziła z nami. Nie wiadomo, ani kto umrze, ani kto będzie żył: dwa lata to kawał czasu, dużo rzeczy może się stać w ciągu dwóch lat...”. Do tych podstęp-

nych słów dodała tyle pieśczoł, tyle zapewnień przyjaźni, tyle miłej obłudy – wiedziałam, gdzie jestem, nie wiedziałam, gdzieby mnie wysłano – że dałam się przekonać. Napisała więc do mego ojca; jej list był bardzo ładny. O, w tych sprawach była nieprześcigniona: nie przemilczała ani mego smutku, ani mego bólu, ani moich sprzeciwów, zapewniam pana, że i sprytniejsza ode mnie dziewczyna dałaby się podejść; jednakże list kończył się wyrażeniem mojej zgody.

Jak szybko wszystko zostało przygotowane! Wyznaczono dzień, przyszykowano mi strój, chwila ceremonii nadeszła, tak że dziś zdaje mi się, iż wydarzenia te były niemal jednoczesne. Zapomniałam panu powiedzieć, że widziałam mego ojca i moją matkę, że nie zaniedbałam niczego, aby ich wzruszyć, i że byli nieubłagani. Niejaki ksiądz Blin, doktor Sorbony, udzielił mi nauki przed obłóczynami, habit otrzymałam z rąk biskupa Alepu. Ta ceremonia sama przez się nie jest wesoła; tego dnia była nader smutna. Chociaż zakonnice starały się podtrzymać mnie, czułam nieustannie, że nogi uginają się pode mną i że zaraz upadnę na stopnie ołtarza. Nic nie słyszałam, nic nie widziałam, byłam osłupiała; prowadzono mnie i szłam; zadawano mi pytania i odpowiadano za mnie. Ta okrutna ceremonia skończyła się wreszcie; wszyscy się rozeszli i pozostałam wśród stada, do którego mnie przed chwilą wcielono. Moje towarzyszki otoczyły mnie, całowały i mówiły jedna do drugiej: „Patrz, siostró, jaka ona jest piękna! jak ten welon uwydatnia białość jej cery! jak w tej opasce jej do twarzy, jak ona zaokrągla jej owal, jak poszerza policzki! jak ten habit podkreśla powab jej kibici i ramion!...”.. Ledwie słuchałam tego, co mówiły: byłam w rozpacz; jednakże, muszę się do tego przyznać, kiedy zostałam sama w celi, przypomniałam sobie te pochlebstwa; nie mogłam się powstrzymać od sprawdzenia ich w moim lusterku; i wydało mi się, że te pochwały nie były całkiem bezpodstawne. Z dniem obłóczyn związane są pewne fawory; udzielono mi ich więcej niż innym; ale nie zrobiło to na mnie zbyt wielkiego wrażenia; mniszki udawały, że sądzą przeciwnie, i wmawiały to we mnie, chociaż było jasne, że wcale tak nie jest. Wieczorem po modłach, przełożona przyszła do mojej celi. Popatrzyła na mnie przez chwilę i powiedziała: „Doprawdy nie wiem, dlaczego masz taką odrazę do tego stroju, jest ci w nim doskonale i jesteś urocza, siostra Zuzanna jest bardzo piękną zakonnicą, dzięki temu będzie więcej kochana. No, spróbujmy, przejdź parę kroków... Garbisz się trochę, nie trzeba tak się pochylać...”.. Pokazała mi, jak mam trzymać głowę, jak stawiać stopy, jak ułożyć ręce, kibic, ramiona; była to niemal lekcja teatralna klasztornej zalotności udzielona przez Marcela<sup>1</sup>, każdy bowiem stan ma swoje sposoby. Następnie usiadła i powiedziała mi:

– Dobrze, ale teraz pomówmy trochę o sprawach poważnych. Oto więc dwa lata zyskane, twoi rodzice mogą zmienić swe postanowienie, ty sama może będziesz chciała zostać tutaj, gdy oni zechcą cię stąd wydobyć, to nie jest zgoła niemożliwe.

– Wielebna matko, proszę tak nie sądzić – powiedziałam.

– Byłaś długo między nami – odparła – ale nie znasz jeszcze naszego życia; ma ono niewątpliwie swe ciężkie chwile, ale ma również swe powaby.

Domyśla się pan z łatwością tego wszystkiego, co mogła dodać o życiu w świecie i w klasztorze, to jest napisane, i wszędzie w ten sam sposób; bo dzięki Bogu dano mi do czytania cały plik tego, co mnisi wygłosili na temat swego stanu, który znają dobrze i którego nienawidzą, przeciw światu, który kochają, który szkalują, a którego nie znają.

---

<sup>1</sup> M a r c e l – sławny tancerz i nauczyciel tańca żyjący w XVIII wieku.

## II

Nie będę panu opisywała szczegółów dotyczących mego nowicjatu; gdyby przestrzegano go w całej jego surowości, nie można byłoby wytrzymać; ale to jest najmilszy okres życia klasztornego. Mistrzynie nowicjatu jest najpobłażliwszą siostrą, jaką można znaleźć wśród mniszek. Jej zadanie polega na ukryciu przed nowicjuszką wszystkich cierni stanu zakonnego; jest to szkoła najsubtelniejszego i najlepiej przygotowanego uwodzenia. To mistrzyni nowicjatu zagęszcza ci mroki, które cię otaczają, ona cię kołysze do snu, usypia, ona cię oszukuje, ona cię oczarowuje. Nasza mistrzyni nowicjatu przywiązała się do mnie szczególnie. Nie sądzę, żeby dusza młoda i niedoświadczona mogła się oprzeć tej zgubnej umiejętności. Świat ma swoje przepaści, ale nie wyobrażam sobie, żeby staczano się tam po tak łagodnej pochyłości. Jeżeli kichnęłam dwa razy z rzędu, byłam zwalniana z obecności na nabożeństwie, z pracy, z wspólnych modłów; wcześniej kładłam się spać, później wstawałam; reguła zakonna nie obowiązywała mnie wtedy. Niech pan sobie wyobrazi, że były dni, gdy wzdychałam do chwili; kiedy złożę śluby. Mistrzynie nowicjatu opowiadała nam o każdym nieprzyjemnym wydarzeniu w świecie; przedstawiała w odpowiedni sposób fakty prawdziwe fałszując je, a potem zaczynała wysławiać bez końca Boga i składać dzięki Temu, który nas zabezpiecza przed tymi poniżającymi przygodami.

Tymczasem zbliżała się chwila, którą nieraz przyspieszałam swymi pragnieniami. Stałam się wówczas zamyślona, poczułam, że moja odraza do życia w klasztorze budzi się znów i wzmacnia. Zamierzałam to wyznać przełożonej lub naszej mistrzyni nowicjatu. Te kobiety mszczą się za kłopoty, jakie im sprawiamy; nie należy bowiem sądzić, że bawi je obłudna rola, którą grają, i bzdury, które zmuszone są nam, nowicjuszkom, powtarzać; staje się to w końcu dla nich takie oklepane i ponure, ale decydują się na tę rolę za tysiąc talarów, które dzięki temu wpływają do klasztoru. Oto doniosły cel, dla którego kłamia przez całe życie i gotują młodym niewinnym dziewczętom udrukę na okres czterdziestu, pięćdziesięciu lat, a być może niedolę wiekuiłą, gdyż to pewne, proszę pana, że na sto zakonnic, umierających przed pięćdziesiątym rokiem życia, jest akurat sto potępionych nie licząc tych, co przedtem wariują, wpadają w cichy obłęd lub stają się furiatkami.

Zdarzyło się pewnego dnia, że jedna z obłąkanych tej drugiej kategorii wymknęła się z celi, gdzie ją trzymano pod kluczem. Zobaczyłam ją. Ujrzałam obraz mego szczęścia lub mego nieszczęścia, zależnie od tego, jak pan ze mną postąpi. Nigdy nie widziałam czegoś równie ohydneho. Była rozczochrana i prawie bez ubrania; wlokła za sobą łańcuchy, oczy miała błędne, wrywała sobie włosy, biła się w piersi pięściami, biegała, wyła, obsypywała siebie i innych najstraszliwszymi złorzeczeniami, szukała okna, aby wyskoczyć. Ogarnęło mnie przerażenie, drżałam na całym ciele, ujrzałam swój los w losie tej nieszczęśliwej kobiety i natychmiast postanowiłam w sercu, że raczej tysiąc razy umrę, niż miałabym się na to narazić. Przeczuto skutek, jaki to wydarzenie mogłoby wyrzeć na moim umyśle; uważano, że należy temu zapobiec. Powiedziano mi o tej zakonnicy mnóstwo śmiesznych kłamstw, które sobie przeczyły: że miała już klepki nie w porządku, gdy ją przyjęto do zgromadzenia, że doznała wielkiego przestachu w okresie dojrzewania, że miewała wizje, że sądziła, iż ma stosunki z aniołami, że czytała szkodliwe książki, które jej nadwerężyły umysł, że słuchała, nowatorów, głosicieli bezkompromisowej moralności, którzy tak ją przerazili wizją boskiego sądu, iż w jej zmaczonej głowie wszystko się pomieszało, że widziała już tylko demonów, piekło i ziejące ogniem otchłanie, że zakonnice bardzo tym były strapione, że nigdy nikt nie słyszał, żeby kiedykolwiek podobna osoba była w ich klasztorze... bo ja wiem, co one jeszcze wygadywa-



ły? Nie zdołały tym nic u mnie wskórać. Obląkana mniszka wciąż przychodziła mi na myśl i ponawiałam sobie przysięgę, że nie złożę żadnego ślubu.

Lecz oto nadszedł moment, kiedy szło o to, aby pokazać, czy umiem dotrzymać danego sobie słowa. Pewnego ranka, po nabożeństwie, ujrzałam wchodzącą do mnie przełożoną. Trzymała list. Twarz jej wyrażała smutek i przygnębienie, ramiona zwisały bezwładnie, wydawało się, że ręka jej nie ma siły, by podnieść ten list; patrzyła na mnie, w oczach jej zdawały się kręcić łzy; milczała, ja również: czekała, aż ja pierwsza się odezwę; korciło mnie, żeby zacząć, ale się powstrzymałam. Zapytała mnie, jak się czuję, powiedziała, że nabożeństwo było dziś bardzo długie, że trochę kaszlałam, że wyglądałam na niezdrową. Na to wszystko odpowiedziałam:

– Nie, droga matko.

Przełożona wciąż trzymała list w opuszczonej ręce; w trakcie tych pytań położyła go na kolanach i zakryła częściowo dłonią, wreszcie zadawszy mi kilka ubocznych pytań dotyczących mego ojca i mojej matki, widząc, że wcale jej nie pytam, co to za pismo, rzekła:

– Oto list...

Na to słowo uczułam, że mi serce mocno zabiło, i powiedziałam łamiącym się głosem i drżącymi wargami:

– To od mojej matki.

– Tak jest; masz, czytaj...

Opanowałam się trochę, wzięłam list, czytałam go z początku dość spokojnie; ale w miarę dalszej lektury, że odczuwałam kolejno trwogę, oburzenie, gniew, złość, różne gwałtowne uczucia – zmieniał mi się głos, wyraz twarzy i ruchy. Chwilami omal nie wypadał mi z rąk ten papier lub trzymałam go tak, jakbym chciała go podrzeć, to znów ścisiskałam go tak gwałtownie, jakbym miała wielką ochotę zgnieść go i cisnąć od siebie precz.

– No, moje dziecko, cóż na to odpowiemy?

– Wielebna matka wie dobrze.

– Ależ nie, nie wiem. Czasy są złe, twoja rodzina poniosła straty; sytuacja materialna twych sióstr jest zachwiana, obie mają dużo dzieci; wydając je za mąż, rodzice wyczerpali swe zasoby; teraz rujnują się, aby im pomóc. Jest niemożliwe, żeby ci zapewnili jakiś przyzwoity byt; wstąpiłaś do klasztoru, co naraziło ich na wydatki; przez ten postępek obudziłaś pewne nadzieje; pogłoska o twym bliskim złożeniu ślubów rozeszła się w kołach towarzyskich. Zresztą, licz zawsze na wszelką moją pomoc. Nigdy nikogo nie wciągałam do życia zakonnego; to stan, do którego nas powołuje Bóg, i jest nader niebezpiecznie łączyć swój głos z Jego głosem. Nie podejmę się zgoła przemawiać do twego serca, jeżeli łaska boska nic mu nie mówi; dotychczas nie mogę sobie wyrzucać nieszczęścia żadnej innej kobiety, czyżbym chciała zacząć od ciebie, moje dziecko, która mi jesteś tak droga? Bynajmniej nie zapomniałam, że to za moją namową zrobiłaś pierwsze kroki; i nie ścierpiałabym, aby nadużyto mej perswazji w celu podjęcia przez ciebie zobowiązań sprzecznych z twoją wolą. Rozpatrzmy tę sprawę razem, naradźmy się. Czy chcesz złożyć śluby?

– Nie, wielebna matko.

– Nie czujesz w sobie żadnego zamiłowania do życia zakonnego?

– Nie, wielebna matko.

– Nie spełnisz woli rodziców?

– Nie, wielebna matko.

– Czym więc chcesz zostać?

– Wszystkim, z wyjątkiem zakonnicy. Nie chcę nią być, nie będę zakonnica.

– A więc dobrze! nie będziesz nią. Ale ułóżmy odpowiedź dla twej matki...

Porozumiałyśmy się co do kilku zasadniczych punktów. Przełożona napisała list i pokazała mi go, wydał mi się znowu bardzo ładny. Tymczasem wysłano do mnie spowiednika klasztoru oraz doktora Sorbony, który wygłosił naukę, gdy wstępowałam do nowicjatu; polecono

mnie mistrzyni nowicjatu; widziałam się z biskupem Alepu; musiałam zetrzeć się z nabożni-  
siami, które wtrąciły się do mojej sprawy, chociaż ich nie znałam; miałam nieustanne konfe-  
rencje z księżmi i z mnichami; przyszedł mój ojciec, siostry napisały do mnie; moja matka  
zjawiła się ostatnia; oparłam się wszystkiemu. Tymczasem został wyznaczony dzień mojej  
profesji<sup>2</sup>; nie zaniedbano niczego, aby uzyskać moją zgodę; ale gdy zobaczono, że zabiegi te  
są daremne, postanowiono obyć się bez niej.

Od owej chwili byłam zamknięta w celi, narzucono mi milczenie; zostałam odseparowana  
od wszystkich, pozostawiona samej sobie; i uświadomiłam sobie wyraźnie, że zdecydowano  
rozporządzić mną beze mnie. Nie chciałam za nic zobowiązać się do złożenia ślubów; to była  
moja niezłomna decyzja – żadne strachy prawdziwe lub zmyślone, którymi nęcano mnie bez-  
ustannie, nie mogły mną zachwiać. Jednakże byłam w opłakanym położeniu; nie wiedziałam  
zgoła, ile czasu mogła trwać ta sytuacja; a gdyby uległa zmianie, wiedziałam jeszcze mniej,  
co mogło mi się przydarzyć. Miotana tą niepewnością, powzięłam decyzję, którą pan oceni  
według swego uznania; nie widywałam już nikogo, ani przełożonej, ani mistrzyni nowicjatu,  
ani mych towarzyszek; kazałam powiadomić przełożoną i udałam, że skłaniam się do woli  
mych rodziców; ale zamiarem moim było położyć kres temu prześladowaniu z rozgłosem i  
zaprotestować publicznie przeciw gwałtowi, który zamyślano mi zadać – powiedziałam więc,  
że nie jestem panią mego losu, że można mną rozporządzać według woli, że ponieważ wyma-  
ga się ode mnie, bym złożyła śluby – złożę je. Co za radość w całym klasztorze! na nowo  
czułe traktowanie ze wszystkimi pochlebstwami i z całym kunsztem uwodzenia: „Bóg prze-  
mówił do mego serca, nikt nie był bardziej ode mnie stworzony do stanu doskonałości. Było  
niemożliwe, aby to się nie stało, zawsze się tego spodziewano. Nie spełnia się swych obo-  
wiązków w sposób tak budujący i z taką stałością, gdy się nie jest naprawdę do tego przezna-  
czoną. Mistrzyni nowicjatu nigdy nie widziała w żadnej ze swych wychowanek bardziej zna-  
miennych cech powołania; była ona nader zdumiona tym, że wstąpiłam na fałszywą ścieżkę,  
ale zawsze mówiła naszej matce przełożonej, iż nie należy ustępować i że to minie; że najlep-  
sze zakonnice mają takie chwile; że są to podszepty złego ducha, który podwaja wysiłki, gdy  
jest bliski utraty swej zdobyczy; że miałam właśnie mu się wymknąć; że teraz są dla mnie  
tylko róże; że obowiązki życia zakonnego wydadzą mi się tym łatwiejsze do zniesienia, im  
bardziej je poprzednio wyolbrzymiałam; że to nagłe wzmożenie się ciężaru jarzma było łaską  
niebios, które posługiwały się tym środkiem, by to jarzmo uczynić lżejszym...”. Wydawało  
mi się dość osobliwym, że ta sama rzecz pochodzi od Boga lub od diabła, zależnie od tego,  
jak mniszkom spodoba się na to patrzeć. Podobne okoliczności często zdarzają się w życiu  
zakonnym, a spośród tych, co mnie pocieszali, jedni mówili mi często, że moje myśli to sku-  
tek podżegania szatana, drudzy, że to wynik natchnienia boskiego. To samo zło pochodzi  
bądź od Boga, który nas doświadcza, bądź od diabła, który nas kusi.

Zachowywałam się powściągliwie; uważałam, że mogę ręczyć za siebie. Widziałam się z  
ojcem; mówił ze mną w tonie oziębłym; widziałam się z matką; uściskała mnie; otrzymałam  
listy z gratulacjami od moich sióstr i wielu innych osób. Dowiedziałam się, że naukę wygłosi  
niejaki ksiądz Sornin, wikary od Świętego Rocha, a ksiądz Thierry, kanclerz uniwersytetu,  
przyjmie moje śluby. Wszystko szło dobrze aż do wigilii wielkiego dnia z tym wyjątkiem, że  
dowiedziawszy się, iż ceremonia odbędzie się potajemnie, że weźmie w niej udział tylko nie-  
liczne grono, że drzwi kościoła będą otwarte tylko dla krewnych, wezwałam przez furtiankę  
wszystkie osoby z naszego sąsiedztwa – mych przyjaciół i przyjaciółki; pozwolono mi napi-  
sać do niektórych moich znajomych. Cały ten sukurs, którego się zgoła nie spodziewano, sta-  
wił się; trzeba było wpuścić wszystkich; zgromadziło się mniej więcej tyle osób, ile mi było  
potrzeba do wykonania mego planu. O panie! co za noc poprzedzająca ten dzień! Zupełnie się  
nie kładłam; siedziałam na łóżku, wzywałam Boga na pomoc; wznosiłam ręce ku niebu; bra-  
łam je za świadka gwałtu, jaki mi zadawano; wyobrażałam sobie siebie u stóp ołtarza, młodą

---

<sup>2</sup> Profesja – w terminologii kościelnej: akt złożenia ślubów zakonnych.

dziewczynę głośno protestującą przeciw aktowi, na który pozornie się zgodziła, zgorszenie obecnych, rozpacz zakonnice, wściekłość mych rodziców. O Boże! co ze mną będzie?... Przy wymawianiu tych słów zrobiło mi się słabo i padłam zemdlona na poduszkę; po tym omdle- niu chwyciły mnie dreszcze; moje kolana zderzały się ze sobą i zęby mi głośno szczękały; po dreszczach ogarnął mnie straszny żar: zmaćciło mi się w głowie. Nie pamiętam, żebym się rozebrała ani żebym wyszła z celi; tymczasem znaleziono mnie tylko w koszuli, leżącą na podłodze przy drzwiach przełożonej, bez ruchu i prawie bez czucia. Dowiedziałam się o tym później. Odniesiono mnie do celi i rano moje łóżko otoczyły przełożona, mistrzyni nowicjatu i te mniszki, które nazywa się asyistentkami. Byłam bardzo przybita, zadano mi kilka pytań; z odpowiedzi moich przekonano się, że zupełnie nie jestem świadoma tego, co się stało, i nie rozmawiano ze mną o tym. Zapytano mnie, jak się miewam, czy trwam w swym zbożnym postanowieniu i czy czuję się na siłach, by znieść zmęczenie dzisiejszego dnia. Odpowie- działam twierdząco; i wbrew ich oczekiwaniu program uroczystości w niczym nie został na- ruszony.

Wszystko przygotowano w przeddzień. Uderzono we dzwony, aby obwieścić wszystkim, że niebawem jedną więcej unieszczęśliwią. Serce zaczęło mi znowu łomotać. Przyszły mniszki ubierać mnie: ten dzień jest dniem stroju; teraz gdy przypominam sobie te wszystkie cere- monie, wydaje mi się, że mają one w sobie coś uroczystego i nader przejmującego dla młodej niewinnej dziewczyny, której skłonności nie pociągają gdzie indziej, Poprowadzono mnie do kościoła, odprawiono mszę świętą: zacny wikary, podejrzewając mnie o rezygnację, której zgoła w sobie nie miałam, wygłosił do mnie długą przemowę, gdzie bodaj każde słowo prze- czyły rzeczywistości. Jakże śmieszne było to wszystko, co mi mówił o moim szczęściu, o łasce, o mojej odwadze, o mej żarliwości, o moim zapale i o wszystkich pięknych uczuciach, jakie mi przypisywał. Ów kontrast między jego pochwałami a krokiem, który właśnie miałam zrobić, wprowadził mnie w zakłopotanie; miałam chwile niepewności, ale trwały one krótko. Jeszcze lepiej zdałam sobie sprawę, że brak mi wszystkiego, co należało posiadać, aby być dobrą zakonnice. Tymczasem nadszedł moment straszliwy. Kiedy trzeba było stanąć na miej- scu, gdzie miałam wypowiedzieć formułę mego ślubowania, nogi się pode mną ugięły; dwie z mych towarzyszek ujęły mnie pod pachy; głowę miałam odrzuconą na ramię jednej z nich i wlokłam się. Nie wiem, co działo się w duszach obecnych, ale widzieli oni młodą omdlewają- cą ofiarę wleczoną do ołtarza i ze wszech stron wyrwały się westchnienia i łkania, wśród których, jestem tego pewna, nie było słycać westchnień mego ojca ani łkań mojej matki. Wszyscy stali; były tu młode osoby stojące na krzesłach i uczepione pretów kraty; zapadła głęboka cisza, gdy ten, co przewodniczył mej profesji, powiedział do mnie:

– Mario Zuzanno Simonin, czy przyrzekasz mówić prawdę?

– Przyrzekam.

– Czy z własnej chęci i z własnej woli jesteś tutaj?

Odpowiedziałam: „Nie”, ale te, które mi towarzyszyły, odpowiedziały za mnie: „Tak”.

– Mario Zuzanno Simonin, czy przyrzekasz Bogu czystość, ubóstwo i posłuszeństwo?

Zahałam się chwilę; ksiądz poczekał, a ja odpowiedziałam:

– Nie, proszę księdza.

Ponowił pytanie:

– Mario Zuzanno Simonin, czy przyrzekasz Bogu czystość, ubóstwo i posłuszeństwo?

Odpowiedziałam mu pewniejszym głosem:

– Nie, proszę księdza, nie.

Zatrzymał się i powiedział:

– Moje dziecko, uspokój się i słuchaj mnie.

– Proszę księdza, ksiądz pyta mnie, czy przyrzekam Bogu czystość, ubóstwo i posłuszeń- stwo; słyszałam księdza dobrze i odpowiadam, że nie... – Zwracając się potem do obecnych, wśród których rozległ się głośny szmer, zrobiłam znak, że chcę mówić; szmer ustał, ja zaś

powiedziałam: – Proszę państwa, a zwłaszcza wy, mój ojciec i moja matka, biorę was wszystkich na świadków... – Na te słowa jedna z sióstr opuściła zasłonę przy kracie i zobaczyłam, że nie było celu mówić dalej. Zakonnice otoczyły mnie, zasypały wyrzutami; słuchałam ich nie mówiąc ani słowa. Zaprowadzono mnie do celi i zamknięto na klucz.

### III

Tam, sama, pozostawiona swym refleksjom, zaczęłam odzyskiwać spokój ducha; powróciłam w myślach do kroku, który uczyniłam, i nie żałowałam go wcale. Zdałam sobie sprawę z tego, że po skandalu, jaki wywołałam, było niemożliwe, abym tu długo pozostawała, i że być może nie ośmieliłam się zamknąć mnie w klasztorze. Nie wiedziałam, co ze mną zrobią; ale nie wyobrażałam sobie nic gorszego niż być mniszką wbrew woli. Dość długo nikt się do mnie nie odzywał słowem. Zakonnice, które przynosiły mi jedzenie, wchodziły, stawiały moją strawę na ziemi i wychodziły w milczeniu. Po miesiącu dano mi świeckie ubranie; zdjęłam suknie klasztorne; przyszła przełożona i powiedziała mi, żebym szła za nią. Towarzyszyła jej aż do furty klasztornej; tam wsiadłam do karety, gdzie znalazłam moją matkę, samą, która na mnie czekała; zajęłam przednią ławeczkę i kareta ruszyła; przez pewien czas siedziałyśmy naprzeciw siebie nie mówiąc ani słowa; miałam oczy spuszczone i nie śmiałam na nią patrzeć. Nie wiem, co się działo w mojej duszy; ale raptem rzuciłam się do jej nóg i schyliłam głowę na jej kolana; nie mówiłam nic, dławiliśmy się łkaniem. Odepchnęła mnie szorstko. Nie wstałam; zaczęła mi iść krew z nosa; pochwyciłam jedną rękę matki mimo jej oporu; oblewając ją łzami zmieszanyymi z krwią, przywierając ustami do tej dłoni całowałam ją i mówiłam:

– Jesteś zawsze moją matką, jestem zawsze twoim dzieckiem...

Odpowiedziała mi odpychając mnie jeszcze brutalniej i wyrrywając rękę:

– Wstań, nieszczęsna, wstań.

Spełniłam jej polecenie; siadłam z powrotem i ściągnęłam nakrycie z głowy na twarz. Matka włożyła w dźwięk swego głosu tyle władzy i stanowczości, że musiałam zasłonić się przed jej wzrokiem. Łzy i krew, która płynęła mi z nosa, mieszały się ze sobą, ciekły mi po rękach i zanim się spostrzegła, jak byłam cała zbroczona. Z kilku powiedzianych przez matkę słów zrozumiałam, że poplamiałam jej suknię i bieliznę i że miała mi to za złe. Przyjechałyśmy do domu, gdzie natychmiast zaprowadzono mnie do przygotowanego dla mnie pokoiku. Padłam jeszcze raz na kolana przed matką na schodach; przytrzymałam ją na chwilę za ubranie; ale uzyskałam od niej tylko tyle, że obróciła się w moją stronę i popatrzyła na mnie z oburzeniem wyrażającym się w ruchu głowy, układzie ust i spojrzeniu, które pan pojmuje lepiej, niż mogę je oddać słowami.

Weszłam do mego nowego więzienia, gdzie spędziłam sześć miesięcy, daremnie zabiegając co dzień o łaskę rozmowy z matką, widzenia się z ojcem lub o pozwolenie napisania do nich. Przynoszono mi posiłki, usługiwano; służąca towarzyszyła mi na mszę w niedziele i święta i zamykała mnie z powrotem. Czytałam, robiłam robótki, płakałam, czasami śpiewałam; i w ten sposób mijały dni. Podtrzymywało mnie jedno tajemne uczucie: że byłam wolna i że mój los, choć tak twardy, mógł ulec zmianie. Ale było postanowione, że będę zakonnicą, i zostałam nią.

Taka nieludzkość, taka zawziętość ze strony moich rodziców utwierdziły mnie w podejrzeniach co do mego urodzenia; nigdy nie mogłam znaleźć innego motywu, aby ich usprawiedliwić. Moja matka prawdopodobnie obawiała się, żebym kiedyś nie zgłosiła swych praw do schedy, żebym nie zażądała należnej mi obowiązkowej części spadku po rodzicach i – mimo że dziecko nieślubne – nie przyłączyła się do dzieci prawowitych. Ale to, co było tylko przypuszczeniem, miało się obrócić w pewność.

W czasie mego zamknięcia w domu spełniałam mało praktyk religijnych na zewnątrz; pisymano mnie jednakże do spowiedzi w wigilię uroczystych świąt. Mówiłam panu, że miałam tego samego spowiednika co moja matka; powiedziałam mu o wszystkim, przedstawiłam mu całą bezwzględność postępowania, jaką przejawiano w stosunku do mnie mniej więcej od trzech lat. Wiedział o tym. Skarżyłam się, zwłaszcza na matkę, z goryczą i urazą. Ten ksiądz późno przywdział suknię duchowną, miał w sobie ludzkie uczucia; wysłuchał mnie spokojnie i powiedział:

– Moje dziecko, lituj się nad twoją matką, lituj się nad nią jeszcze bardziej, niż ją potępiasz. Ona jest z natury dobra; bądź pewna, że wbrew swej woli w ten sposób postępuje.

– Wbrew woli, proszę księdza. A cóż ją może do tego zmuszać? Czyż nie wydała mnie na świat? I jakaż jest różnica między moimi siostrami a mną?

– Duża.

– Duża? Nic nie rozumiem z odpowiedzi księdza...

Chciałam rozpatrzyć porównanie między moimi siostrami a mną, gdy on przerwał mi i powiedział:

– Daj temu pokój, nieludzkość nie jest wadą twych rodziców; staraj się znosić cierpliwie swój los i przynajmniej zasłużyć się w ten sposób wobec Boga. Zobaczę się z twoją matką i bądź pewna, że użyję na twoją korzyść całego wpływu, jaki mogę mieć na nią...

To „duża” w jego odpowiedzi było dla mnie promieniem światła; nie wątpiłam więcej o prawdziwości tego, co myślałam o swym urodzeniu.

Następnej soboty, około wpół do szóstej po południu, o szarej godzinie weszła przydzielona mi służąca i rzekła: „Pani nakazuje panience ubrać się do miasta...”.. W godzinę potem: „Pani życzy sobie, żeby panienka zeszła ze mną na dół...”.. Przed bramą czekała kareta, do której wsiadłyśmy, ja i służąca; dowiedziałam się, że jedziemy do klasztoru folantynów<sup>3</sup> do ojca Serafina. Oczekiwał nas; był sam. Służąca oddaliła się, a ja weszłam do rozmównicy. Usiadłam, zaniepokojona i ciekawa tego, co miał mi do powiedzenia. Oto, jak do mnie przemówił:

– Proszę pani, zagadka surowego postępowania twych rodziców wyjaśni ci się; otrzymałam na to zezwolenie matki pani. Jest pani osobą rozumną; posiadasz inteligencję i silny charakter; jesteś w tym wieku, kiedy można by ci powierzyć nawet taki sekret, który by ciebie nie dotyczył. Dawno namawiałem po raz pierwszy pani matkę, aby ci wyjawiała to, o czym się zaraz dowiesz, nigdy nie mogła się na to zdobyć: trudno jest matce przyznać się przed swoim dzieckiem do ciężkiej winy – znasz jej charakter; nie godzi się on z upokorzeniem, jakie pociąga pewne wyznanie. Sądziła, że będzie mogła nie uciekając się do tego środka doprowadzić cię do zamierzonego przez nią celu; omyliła się; to ją rozgniewało; dzisiaj decyduje się posłuchać mojej rady; to ona poleciła mi oznajmić pani, że nie jesteś córką pana Simonin.

Odpowiedziałam mu natychmiast:

– Domyślałam się tego.

– Proszę więc teraz zastanowić się, rozważyć, osądzić, czy matka pani może bez zgody, a nawet za zgodą pani ojca zrównać cię z dziećmi, których siostrą nie jesteś; czy może ona wyznać ojcu pani fakt, co do którego ma on już aż zbyt wiele podejrzeń.

– A kto jest moim ojcem?

– Tego mi nie powiedziano. Jest aż nadto pewne – dodał – że siostry twoje wyróżniono

<sup>3</sup> Folantyni – zakon oparty na regule św. Bernarda, założony w 1577 r.

nadzwyczajnie i że przedsięwzięto wszelkie możliwe środki ostrożności, poprzez umowy przedślubne, poprzez zmianę charakteru dóbr, poprzez różne klauzule, fideikomisy i inne środki prawne, aby sprowadzić do zera należną pani część spadku na wypadek, gdybyś pewnego dnia zwróciła się o nią do sądu. Jeżeli stracisz rodziców, niewiele po nich otrzymasz. Nie chcesz wstąpić do klasztoru, być może, będziesz żałowała, że tam nie jesteś.

– To niemożliwe, proszę ojca; nie żądam niczego.

– Nie wiesz, co to jest troska o byt, trudy, bieda.

– Znam przynajmniej cenę wolności i brzemię stanu, do którego nie jest się zgoła powołaną.

– Powiedziałem pani to, co miałem powiedzieć, to już jest pani rzecz zastanowić się nad tym... – Po czym wstał.

– Jeszcze jedno pytanie, ojcze.

– Ile tylko chcesz.

– Czy moje siostry wiedzą o tym, o czym się dowiedziałam?

– Nie, nie wiedzą.

– Jakże więc one mogły zdecydować się na ograbienie swojej siostry, bo za siostrę mnie uważają.

– Ach, proszę pani! interes, interes! inaczej nie znalazłyby tak dobrych partii, jakie zrobiły. Każdy myśli o sobie na tym świecie; i nie radzę ci liczyć na nie w razie śmierci rodziców; bądź pewna, że będą usiłowały wydrzeć ci każdy grosz z tej drobnej części spadku, jaka przypadnie do podziału. Mają dużo dzieci; ten pretekst, żeby cię puścić z torbami, będzie uważany za całkiem uczciwy. Poza tym one nie są już teraz paniami swej woli; wszystkim zajmują się mężowie: gdyby miały jakieś uczucia litości, pomoc, jakiej by ci udzieliły bez wiedzy mężów, stałyby się źródłem niezgody domowej. Zawsze wynika z tego tylko jedno – czy są to dzieci z nieprawego czy z prawego łoża – wspomaganie ich wywołuje niesnaski domowe. Wreszcie, proszę pani, chleb otrzymywany z łaski jest bardzo gorzki. Jeżeli pani darzy mnie zaufaniem, pogodzi się pani z rodzicami; zrobisz to, czego twoja matka spodziewa się po tobie: wstąpisz do klasztoru; wyznaczą ci skromną pensję, dzięki której spędzisz życie, jeżeli nie szczęśliwie, to przynajmniej znośnie. Zresztą nie będę ukrywał, że widoczne opuszczenie pani przez matkę, jej upór, żeby cię zamknąć w klasztorze, i pewne inne okoliczności, których sobie już nie przypominam, lecz w swoim czasie je znałem, zrobiły na twoim ojcu akurat to samo wrażenie, co na tobie: twoje urodzenie było dla niego sprawą podejrzaną; dzisiaj już nie jest – i choć nie został wtajemniczony – bynajmniej nie wątpi, że należysz do niego jako dziecko tylko z mocy prawa, które przypisuje dzieci temu, kto nosi tytuł małżonka. Jesteś dobra i mądra; pomyśl o tym, czegoś się dowiedziała.

Wstałam, zaczęłam płakać. Ujrzałam, że on sam był wzruszony; wzniosł wolno oczy w niebo i odprowadził mnie ku drzwiom. Zawołałam służącą, która mi towarzyszyła; wsiadłyśmy z powrotem do karety i wróciłyśmy do domu. Było późno. Rozmyślałam przez część nocy o tym, co mi przed chwilą ujawniono; pomyślałam o tym i nazajutrz. Nie miałam ojca; nadmierne skrupuły odebrały mi matkę; przedsięwzięto środki ostrożności, abym nie mogła rościć sobie praw, jakie przysługują dziecku legalnie urodzonemu; byłam skazana na ciężką niewolę domową; nie miałam żadnej nadziei, nie spodziewałam się żadnego ratunku. Być może, gdyby rozmówiono się ze mną wcześniej, po wyjściu za mąż moich sióstr, zatrzymano by mnie w domu, gdzie znajomi nie przestali bywać; znalazłby się ktoś, dla którego mój charakter, mój umysł, moja powierzchowność i moje zdolności wydałyby się wystarczającym posagiem; takie rozwiązanie było jeszcze możliwe; ale skandal, jaki wywołałam w klasztorze, utrudnił tę sprawę; ludzie nie pojmują zupełnie, jak dziewczyna między siedemnastym a osiemnastym rokiem życia nie obdarzona wyjątkową siłą charakteru mogła się posunąć do tej ostateczności; mężczyźni bardzo chwalać tę zaletę; ale wydaje mi się, że chętnie obywają się bez niej u tych kobiet, które zamierzają uczynić swymi żonami. A jednak można spróbować i

tego wyjścia, zanim się o czym innym pomyśli; postanowiłam zwierzyć się matce i poprosiłam ją o rozmowę, na co uzyskałam zezwolenie.

Było to zimową porą. Siedziała w fotelu przed kominkiem; twarz miała surową, oczy utkwione w jeden punkt i rysy nieruchome. Podeszłam do niej, padłam jej do nóg i poprosiłam ją, aby przebaczyła mi wszystkie winy, jakie popełniłam.

– Możesz zasłużyć na przebaczenie – odrzekła – zależnie od tego, co mi teraz powiesz. Wstań; ojca twego nie ma w domu, masz dużo czasu, aby wytłumaczyć mi się ze swego zachowania. Widziałaś się z ojcem Serafinem, wiesz nareszcie, kim jesteś i czego możesz ode mnie oczekiwać, jeżeli nie masz zamiaru karać mnie przez całe życie za winę, którą już aż nazbyt ciężko odpokutowałam. A więc czego chcesz ode mnie? Coś postanowiła?

– Mamo – odpowiedziałam jej. – Wiem, że nie mam nic i że nie powinnam do niczego rościć sobie prawa. Daleka jestem od chęci przysparzania ci jakichkolwiek trosk; być może, byłabym bardziej uległa twojej woli, gdybyś mnie wcześniej oświeciła co do pewnych okoliczności, które trudno było, abym podejrzewała; ale nareszcie wiem, kim jestem, i nie pozostaje mi nic innego, jak zachować się zgodnie z moim położeniem. Nie dziwi mnie już różnica w traktowaniu mnie i moich sióstr, uznają słuszność takiego postępowania, godzę się z tym, ale jestem zawsze twoim dzieckiem; nosiłaś mnie w swym łonie i mam nadzieję, że o tym nie zapomnisz.

– Biada mi – zawołała żywo – gdybym nie uznała cię za swoje dziecko, na ile to jest w mojej mocy!

– A więc, mamo! – rzekłam – przywróć mi swoje względy; pozwól mi przebywać z sobą; przywróć mi serdeczność tego, kto uważa się za mego ojca.

– Niewiele brakuje – odparła – aby on nabrał takiej samej pewności co do twego nieprawego pochodzenia, jak ty i ja. Ilekroć widzę cię przy nim, zawsze słyszę wyrzuty; czyni mi je w postaci tej surowości, z jaką się do ciebie odnosi; nie spodziewaj się znaleźć w nim czulego ojca. Poza tym czyż mam ci wyznać? przypominasz mi zdradę i niewdzięczność tak ohydną ze strony pewnego mężczyzny, że nie mogę znieść myśli o niej; ten człowiek ukazuje się ustawicznie między tobą a mną; odpycha mnie, i nienawiść, na którą u mnie zasłużył, ogarnia i ciebie.

– Jak to! – rzekłam – czyż nie mogę spodziewać się, że ty, matko, i pan Simonin będziecie mnie traktowali jak osobę obcą, nieznaną, którą byście przygarnęli przez współczucie?

– Nie możemy tego zrobić, ani ja, ani on. Moja córko, nie zatruwaj dłużej mojego życia. Gdybyś nie miała sióstr, wiem jak powinna bym postąpić, ale masz ich dwie, a jedna i druga ma liczną rodzinę. Od dawna wygasła namiętność, która mnie podtrzymywała, sumienie znowu upomniało się o swe prawa.

– Ale ten, któremu zawdzięczam życie...

– Nie ma go już, umarł nie pamiętając o tobie, i to jest najmniejsze z jego przestępstw...

W tym momencie twarz jej się zmieniła, oczy rozbłyły, oburzenie odbiło się w jej rysach, chciała mówić, ale drżenie warg nie pozwoliło jej wydobyć słowa. Siedziała; pochyliła głowę na rękę, aby ukryć przede mną wzburzenie, jakie ją ogarnęło. Trwała jakiś czas w tym stanie; potem wstała, przeszła się kilka razy po pokoju bez słowa; powstrzymywała z trudem toczące się łzy i mówiła:

– Potwór! Gdyby to od niego zależało, byłby cię zadusił w mym łonie wszystkimi udrami, jakie mi sprawił, ale Bóg zachował nas obie, żeby matka odkupiła swą winę poprzez dziecko. Moja córko, nie masz nic i nigdy nic nie będziesz miała. Wszystko, co mogę dla ciebie zrobić, czynię kosztem twoich sióstr; oto skutki słabości. Jednakże spodziewam się, że nic nie będę miała sobie do wyrzucenia w chwili śmierci; zdobyłam twój posag oszczędnością. Nie nadużywam bynajmniej dobroci mego małżonka, ale odkładam codziennie coś z tego, co otrzymuję od czasu do czasu z jego szczodrobliwości. Sprzedałam swoją biżuterię i otrzymałam od niego pozwolenie rozporządzania według woli kwotą, którą uzyskałam z tej sprzeda-

ży. Lubiłam grę, nie gram już; lubiłam widowiska, odmówiłam ich sobie; lubiłam towarzystwo, usunęłam się od ludzi; lubiłam życie wystawne, wyrzekłam się go. Jeżeli wstąpisz do klasztoru, co jest moją i pana Simonin wolą, twój posag będzie owocem tego, czego odmawiam sobie każdego dnia.

– Ale, mammo – rzekłam – przychodzi jeszcze do tego domu kilku porządnych ludzi; może znajdzie się taki, który zadowolony się moją osobą, nie będzie wymagał nawet oszczędności, które przeznaczyłaś na moje wyposażenie przy wstąpieniu do klasztoru.

– O tym nie należy już myśleć, skandal, jaki wywołałaś, zgubił cię.

– Czy nie ma na to ratunku?

– Nie, nie ma.

– Ale jeżeli nie znajdę małżonka, czy jest konieczne, abym zamknęła się w klasztorze?

– O ile nie zechcesz, by mój ból i wyrzuty sumienia trwały aż do chwili, gdy zamknę oczy. Nie uda mi się tego uniknąć, twoje siostry w tym momencie straszliwym będą otaczały moje łóżko; zastanów się, czy mogłabym znieść wśród nich widok twojej osoby; jakie wrażenie wywarłaby twoja obecność w tych ostatnich chwilach! Moja córko, gdyż jesteś nią mimo mej woli, twoje siostry otrzymały mocą prawa nazwisko, które ty zawdzięczasz przestępstwu; nie martw konającej matki, pozwól jej zejść spokojnie do grobu, aby mogła sobie powiedzieć, gdy będzie miała lada chwila stanąć przed najwyższym sędzią, że naprawiła swój błąd w tej mierze, w jakiej to było dla niej możliwe; aby mogła się spodziewać, że po jej śmierci nie wniesiesz zamętu do domu i że nie będziesz dochodziła praw, których nie posiadasz.

– Mammo – powiedziałam jej – bądź o to spokojna, sprowadź prawnika: niech sporządzi akt zrzeczenia się, a ja podpiszę wszystko, co zechcesz.

– To niemożliwe: dziecko nie może wydziedziczyć się samo, jest to kara ojca lub matki, którzy mają słuszne powody do gniewu. Gdyby Bogu podobało się powołać mnie jutro, musiałabym jutro uciec się do tej ostateczności i zwierzyć się mężowi, aby wspólnie przedsięwziąć te same kroki. Nie narażaj mnie na wyznanie, które zohydziłoby mnie w jego oczach i pociągnęłoby za sobą skutki dla ciebie hańbiące. Jeżeli przeżyjesz mnie, zostaniesz bez nazwiska, bez majątku i bez pozycji w świecie. Nieszczęsna! Powiedz mi, co się z tobą stanie; jakież myśli mam unieść ze sobą do grobu? Będę więc musiała powiedzieć twemu ojcu... Co mu powiem? Że nie jesteś jego dzieckiem!... Moja córko, gdyby trzeba było tylko paść do twych nóg, aby uzyskać od ciebie... Ale ty nic nie czujesz; masz niewrażliwą duszę swego ojca...

W owej chwili wszedł pan Simonin; ujrzał wzburzenie swej żony; kochał ją; był gwałtowny, zatrzymał się nagle i obracając na mnie straszliwe wejrzenie powiedział:

– Wyjź! – Gdyby był moim ojcem, nie posłuchałabym go; ale nim nie był. – Dodał zwracając się do służącego, który mi świecił: – Powiedz jej, żeby się więcej tu nie pokazywała.

Zamknęłam się w moim małym więzieniu. Rozmyślałam o tym, co powiedziała mi matka; padłam na kolana, modliłam się do Boga, aby mnie natchnął, modliłam się długo; trwałam tak z twarzą przywartą do ziemi; prawie zawsze wzywa się głosu niebios wtedy tylko, gdy się nie wie, jaką powziąć decyzję; i rzadko bywa, aby wówczas głos ten nie doradzał nam posłuszeństwa. Na to się właśnie zdecydowałam. Chcą, abym była zakonnica; może jest to również wola Boga. A więc – będę zakonnica! Skoro mam być nieszczęśliwa, co za różnica, gdzie będę nieszczęśliwa! Poleciałam tej, która mi usługiwała, by powiadomiła mnie, gdy mój ojciec wyjdzie z domu. Zaraz nazajutrz poprosiłam o rozmowę z matką; kazała odpowiedzieć mi, że obiecała panu Simonin nie rozmawiać ze mną, ale że mogę do niej napisać ołówkiem, który mi dano. Napisałam więc na kawałku papieru (ten fatalny papier odnalazł się i posłużono się nim przeciw mnie aż zbyt dobrze): „Mammo, przykro mi bardzo, że sprawiłam ci tyle zmartwień; przepraszam cię za to, mam zamiar położyć im kres. Nakaż mi wszystko, co zechcesz; jeżeli jest twoją wolą, abym wstąpiła do klasztoru, pragnę, aby to było również wolą Boga...”. Służąca wzięła to pismo i zaniósła mojej matce. Po chwili wróciła na górę i powiedziała mi z



uniesieniem: „Panienko, skoro wystarczyło jednego słowa, aby uszczęśliwić ojca panienki i matkę panienki, po co było odwlekać to tyle czasu? Pan i pani mają teraz takie miny, jakich nigdy nie widziałam u nich, odkąd tu jestem; kłócili się bez ustanku o panienkę; Bogu dzięki, nie zobaczę tego więcej...”. Gdy mówiła te słowa, myślałam o tym, że przed chwilą podpisałam wyrok śmierci na sobie – i to przecucie, proszę pana, sprawdzi się, jeżeli pan mnie opuści.

Minęło kilka dni bez żadnych dla mnie wieści, lecz pewnego ranka około dziewiątej drzwi moje raptem się otworzyły; to wszedł pan Simonin w szlafroku i w szlafmicy. Odkąd wiedziałam, że nie był moim ojcem, jego obecność wzbudzała we mnie tylko strach. Wstałam, złożyłam mu ukłon. Wydało mi się, że miałam dwa serca: nie mogłam myśleć o mojej matce bez rozczulenia, bez chęci do płaczu; inaczej to wyglądało w stosunku do pana Simonin. Jest rzeczą pewną, że ojciec wzbudza rodzaj uczuć, jakich się nie ma dla nikogo na świecie prócz niego; wie to tylko ten, kto znalazł się, jak ja, wobec człowieka, który przez długi czas posiadał, a teraz stracił ów dostojny charakter; inni nigdy nie będą tego wiedzieli. Gdybym bezpośrednio po widzeniu się z nim znalazła się w obecności mojej matki, zdaje mi się, że byłabym inna. Powiedział mi:

- Zuzanno, czy poznajesz tę kartkę?
- Tak, proszę pana.
- Czy napisałaś ją z nieprzymuszonej woli?
- Nie mogę odpowiedzieć, że tak.
- Czy jesteś przynajmniej zdecydowana wykonać to, co ta kartka przyrzeka?
- Tak.
- Czy nie masz szczególnego upodobania do żadnego klasztoru?
- Nie, są mi obojętne.
- Wystarczy.

Oto, co odpowiedziałam, ale na nieszczęście to nie było zapisane.

W ciągu dwóch tygodni, podczas których nie wiedziałam zupełnie, co się działo, zdawało mi się, że zwracano się do różnych klasztorów i że skandal wywołany przy składaniu ślubów sprawił, iż nie chciano mnie przyjąć jako postulantki<sup>4</sup>.

Mniej wymagający okazał się klasztor w Longchamp<sup>5</sup>; niewątpliwie dlatego, że dano zręcznie do zrozumienia, iż jestem muzykalna i mam niezły głos. Wyolbrzymiano wobec mnie trudności z przyjęciem i łaskę, jaką mi wyświadczano przyjmując mnie do tego klasztoru; namówiono mnie nawet, żebym napisała do przełożonej. Nie zdawałam sobie sprawy z następstw tego dowodu na piśmie, którego ode mnie wymagano; widocznie obawiano się, bym kiedyś nie sprzeniewierzyła się swoim ślubom; chciano mieć moje własnoręczne świadectwo, że te śluby były dobrowolne. Gdyby nie ten powód, jakże ten list, który winien był pozostać w rękach przełożonej, dostałby się następnie do rąk mych szwagrów? Ale przymknijmy co prędzej oczy na tę sprawę; ukazuje mi ona pana Simonin w takim świetle, w jakim nie chcę go widzieć – on już nie żyje.

Zawieziono mnie do Longchamp; towarzyszyła mi matka. Nie prosiłam o pożegnanie się z panem Simonin; wyznaję, że ta myśl przyszła mi dopiero w drodze. Oczekiwano mnie; poprzedził mnie rozgłos zarówno skandalu u Panny Marii, jak i moich uzdolnień; pominięto milczeniem pierwszą sprawę; ale zakonnice nie ukrywały swej niecierpliwości, by zobaczyć, czy nabytek, jaki zrobiły, wart był zachodu. Po rozmowie na temat wielu rzeczy obojętnych, gdyż po tym, co mi się wydarzyło, oczywiście nie mówiono o Bogu ani o powołaniu, ani o niebezpieczeństwach świata i powabach życia zakonnego, nie zaryzykowano ani jednego słowa z tych pobożnych bzdur, którymi wypełnia się pierwsze chwile, przełożona powiedzia-

<sup>4</sup> Postulantka – osoba zabiegająca o przyjęcie do nowicjatu.

<sup>5</sup> Opactwo w Longchamp, gdzie rozgrywa się około r. 1760 prawie połowa tej opowieści, znajdowało się pod Paryżem w Lasku Bulońskim. Równina Longchamp stała się w XX wieku polem wyścigów konnych

ła: „Pani umie grać, pani śpiewa, mamy klawesyn, może poszłybyśmy do naszej rozmównicy...”. Serce miałam ściśnięte, ale nie był to moment właściwy do okazywania niechęci; moja matka poszła przodem, ja za nią; zamykała pochód przełożona i grupa zakonnice, które zwabia ciekawość. Był to wieczór, przyniesiono mi świece, usiadłam przy klawesynie; długo próbowałam instrumentu szukając w pamięci jakiegoś utworu, których tyle mam w głowie, i nic nie znajdując; tymczasem przełożona nalegała, zaśpiewałam więc, nie zdając sobie sprawy z drastyczności tego utworu w tych warunkach, bo tę pieśń znałam dobrze i grywałam ją często: *Smutne przygotowania, blade światła, dni okropniejsze od mroków* itd. Nie wiem, jakie to sprawiło wrażenie, ale nie słuchano mnie długo; przerwano mi pochwałami, byłam bardzo zdziwiona, że zasłużyłam na nie tak szybko i takim tanim kosztem. Moja matka oddała mnie w ręce przełożonej, podsunęła mi rękę do pocałowania i wróciła do domu.

## IV

Znalazłam się oto w innym klasztorze, jako postulanka z wszystkimi pozorami, że czynię to z dobrej woli. Ale pan, który zna do tej chwili wszystko, co zaszło, co pan o tym sądzi? Większość tych faktów nie była wcale przytaczana podczas procesu, gdy chciałam odwołać moje śluby; jedne przemilczano, ponieważ były to prawdy pozbawione dowodów; inne – ponieważ zohydziłyby mnie nie przynosząc żadnej korzyści; widziano by we mnie tylko wynaturzone dziecko, które zniesławia pamięć swych rodziców, aby uzyskać wolność. Miano dowody na to, co świadczyło przeciw mnie, faktów, które świadczyły na moją korzyść nie można było ani przytoczyć, ani dowieść. Nie chciałam nawet, by podsuwano sędziom podejrzenie co do mego urodzenia. Kilka osób nie znających się na prawie poradziło mi, bym powołała na świadka spowiednika mojej matki i mego; to było niewykonalne; a gdyby nawet istniała taka możliwość, nie zniosłabym jej. Ale à propos, z obawy, żebym o tym nie zapomniała i żeby chęć dopomożenia mi nie przeszkodziła panu zastanowić się nad tym; sądzę – może pan znajdzie lepszą radę – że należy przemilczeć fakt, iż jestem muzykalna i gram na klawesynie: to by wystarczyło, aby mnie wykryć; wyjawienie tych talentów nie pasuje zgoła do życia w ciszy i spokoju, czego szukam; mniszki tych rzeczy nie umieją i trzeba, abym ja ich także nie znała. Jeżeli będę zmuszona opuścić ojczyznę, z tego się będę utrzymywała. Opuścić ojczyznę... ale niech mi pan powie, dlaczego ta myśl mnie przeraża? Dlatego, że nie wiem, dokąd się udać, bo jestem młoda i niedoświadczona, bo obawiam się nędzy, ludzi i występku; bo zawsze żyłam w zamkniętym środowisku i gdybym znalazła się poza Paryżem, uważałabym się za zgubioną w świecie. To wszystko może nie jest słuszne, ale ja tak to czuję. Panie, od pana zależy, czy stanie się tak, że nie będę wiedziała, gdzie się udać i co ze sobą zrobić.

Przełożone z Longchamp, tak samo jak w większości klasztorów, zmieniają się co trzy lata. Gdy zostałam tutaj umieszczona, urząd ten objęła matka Moni – wszystko, co panu mogę o niej powiedzieć dobrego, to jeszcze będzie za mało; wszelako zgubiła mnie właśnie jej dobroć. Była to kobieta rozumna, znała serce ludzkie; miała dużo pobłażliwości dla innych, chociaż nikt nie potrzebował mniej od niej pobłażania dla siebie; traktowała nas wszystkie jak swoje dzieci. Dostrzegała tylko te błędy, których nie mogła nie zauważyć lub których doniosłość nie pozwalała jej zamykać na nie oczu. Mówię o tym bezinteresownie, gdyż spełniałam swe obowiązki z całą skrupulatnością; przełożona oddałaby mi sprawiedliwość, że nie popełniłam żadnego błędu, za który musiałaby mnie ukarać lub mi go wybaczyć. Jeżeli kogoś

szczególnie wyróżniała, to predylekcję tę wzbudzała w niej czyjaś zasługa; po tym, com powiedziała, nie wiem, czy wypada mi wyznać panu, że kochała mnie tkliwie i że nie należałam do ostatnich wśród jej faworytek. Wiem, że wydaję o sobie bardzo pochlebny sąd, bardziej pochlebny, niż pan może sobie wyobrazić, skoro pan jej nie znał. Nazwę „faworytki” nadają przez zazdrość inne zakonnice ulubienicom przełożonej. Jeżeli miałabym do zarzucenia matce Moni jakąś wadę, to widzę ją w tym, że otwarcie ujawniała, jak ją pociąga cnota, pobożność, szczerość, łagodność, zdolność, uczciwość, choć wiedziała, że te zakonnice, które tymi zaletami nie mogły się pochwalić, czuły się tym bardziej jeszcze upokorzone. Miała również dar, być może bardziej pospolity w klasztorze niż w świecie, szybkiego rozpoznawania ludzi. Rzadko się zdarzało, żeby zakonnica, która nie podobała się jej z początku, podobała jej się później. Niebawem po moim przybyciu przypadłam jej do gustu; od pierwszej chwili wzbudziła we mnie całkowite zaufanie. Biada tym, które go jej od razu nie okazywały. Musiały one być w oczach przełożonej złe do gruntu i musiały uznać się za takie. Rozmawiała ze mną o mojej przygodzie w klasztorze Panny Marii; opowiedziałam jej tę historię bez ogródek, tak jak panu; wyznałam wszystko, co panu już napisałam; i to, co dotyczyło mojego urodzenia, i to, z czym wiązały się moje troski, niczego nie pominęłam. Wyraziła mi swoje współczucie, pocieszyła, wzbudziła we mnie nadzieję spokojniejszej przyszłości.

Tymczasem minął okres próbny; nadszedł czas obłóczyn i włożyłam habit. Odbylam nowicjat bez przykrości; przebiegam szybko we wspomnieniach te dwa lata, ponieważ nie nękały mnie wtedy żadne smutki poza tajonym uczuciem, że krok za krokiem posuwam się ku wstąpieniu do stanu, do którego nie byłam stworzona. Niekiedy uczucie to odnawiało się we mnie z wielką siłą, lecz natychmiast uciekałam się do mojej zacnej przełożonej, która mnie całowała, rozwijała moje życie duchowe, wykladała mi dobitnie swoje racje i kończyła zawsze takimi słowy: „A czyż inne stany nie mają również swoich cierni? Czuje się tylko swoje. No, moje dziecko, ukłękniemy i pomódlmy się...”

Wówczas kładła się krzyżem i modliła się na głos, z takim namaszczeniem, tak wymownie, z taką słodyczą, uniesieniem i mocą, że można by rzec, duch boży zsyłał jej natchnienie. Jej myśli, wyrażenia, obrazy przenikały aż do głębi serca; kto był przy tym obecny, z początku tylko słuchał; stopniowo dawał się porwać; jednoczył się z nią; dusza jego wibrowała i dzieliła jej uniesienie. Nie było jej zamiarem rzucać urok, ale niewątpliwie to właśnie czyniła; wychodziło się od niej z sercem gorejącym, radość i zachwycenie malowały się na twarzy; wylewało się łzy tak słodkie. Jej twarz wyrażała te same uczucia, wyraz zachwyty nie opuszczał jej długo i to pozostawało w pamięci. Powołuję się nie tylko na własne doświadczenie, lecz na doświadczenie wszystkich zakonnice. Niektóre mówiły mi, że czuły rodzącą się w nich potrzebę pociechy jako potrzebę wielkiej rozkoszy, i sądzę, że brakowało mi tylko nieco większego nawyknięcia, by do tego dojść. Jednakże w miarę jak zbliżał się termin złożenia ślubów, ogarniała mnie melancholia tak głęboka, że wystawiło to moją zacną przełożoną na straszliwe próby; talent pocieszania opuścił ją, sama mi to wyznała.

– Nie wiem – powiedziała mi – co się ze mną dzieje; wydaje mi się, gdy przychodzisz, że Bóg odsuwa się ode mnie i że Jego duch milknie; próżno czynię wysiłki, szukam myśli, chcę rozplomienić moją duszę; uważam się za kobietę pospolitą i ograniczoną; obawiam się mówić...

– Ach, droga matko – rzekłam – co za przecucie. Czyżby to Bóg uczynił cię niemą...

Pewnego dnia, gdy czułam się bardziej niepewną i przybitą niż kiedykolwiek, poszłam do celi przełożonej; moja obecność z początku ją zaskoczyła: widocznie wyczytała w moich oczach, w całej mojej osobie, że uczucie głębokiego smutku, jakie malowało się na mojej twarzy, było ponad jej siły; a ona nie chciała walczyć bez pewności zwycięstwa. Jednakże wzięła mnie w obroty, stopniowo się rozgrzała; w miarę jak mój ból słabł, jej zapał wzrastał; raptem padła na kolana, poszłam za jej przykładem. Sądziłam, że zaraz podzielę jej uniesienie, pragnęłam tego; wyrzekła kilka słów, potem nagle umilkła. Czekałam na próżno: nie po-

wiedziała nic więcej, wstała z klęczek zalana łzami, wzięła mnie za rękę i tuląc w ramionach rzekła: „Ach, drogie dziecko, jaki okrutny wpływ wywarłaś na mnie. To stało się, duch mnie opuścił, czuję to – niechaj Bóg sam mówi do ciebie, skoro nie podoba Mu się przemawiać przez moje usta...”. Istotnie nie wiem, co w niej zaszło, czy odebrałam jej wiarę we własne siły, której już nie odzyskała, czy ją onieśmieliłam, czy też rzeczywiście przerwałam jej kontakt z niebem, ale dar pocieszania już więcej się w niej nie objawił. W przeddzień złożenia ślubów poszłam się z nią zobaczyć; była pogrążona w melancholii nie mniejszej od mojej. Zaczęłam płakać, ona również; padłam jej do nóg, pobłogosławiła mnie, podniosła, uściskała i odprawiła mówiąc:

– Jestem znużona życiem, pragnę umrzeć; prosiłam Boga, bym nie doczekała dzisiejszego dnia, ale to nie jest Jego wola. Idź, pomówię z twoją matką, spędzę noc na modlitwie, ty też się módl; ale połóż się spać, nakazuję ci to.

– Pozwól, matko – odpowiedziałam jej – żebym przyłączyła się do twoich modłów.

– Pozwalam ci na to od dziewiątej do jedenastej, nie dłużej. O wpół do dziesiątej zacznę się modlić, ty również; ale o jedenastej pozostawisz mnie samą i udasz się na spoczynek. No, idź, drogie dziecko, będę czuwała przed obliczem Boga resztę nocy.

Chciała się modlić, ale nie mogła. Ja spałam; tymczasem ta święta kobieta chodziła po korytarzach pukając do każdych drzwi, budziła zakonnice i kazała im schodzić bez hałasu do kościoła. Udały się tam wszystkie; gdy były już zebrane, wezwała je do modłów na moją intencję. Modlitwa zaczęła się w ciszy, po czym przełożona zgasiła światła; wszystkie odmówiły na głos razem *Miserere*, z wyjątkiem przełożonej, która leżąc krzyżem u stóp ołtarza biczowała się okrutnie, mówiąc: „Boże, jeżeli odwróciłeś się ode mnie wskutek jakiejś popełnionej przeze mnie winy, racz mi ją odpuścić. Nie proszę Cię, abyś mi przywrócił dar, który mi odjąłeś, lecz abyś zwrócił się sam do tej niewinnej, co śpi, gdy ja Cię tutaj wzywam dla niej. Boże mój, przemów do niej, przemów do jej rodziców i przebacz mi.”

Nazajutrz weszła wczesnym rankiem do mojej celi; nie usłyszałam jej kroków, jeszcze się nie obudziłam. Usiadła obok mego łóżka; położyła lekko dłoń na moim czole; patrzyła na mnie: niepokój, zmieszanie i ból malowały się kolejno na jej twarzy; taka mi się ukazała, kiedy otworzyłam oczy. Nie mówiła mi nic o tym, co się działo w nocy; zapytała mnie tylko, czy wcześniej się położyłam; odpowiedziałam:

– O tej porze, o której mi kazałaś, matko.

– Czy odpoczęłaś?

– Odpoczęłam doskonale, wielebna matko.

– Spodziewałam się tego... A jak się czujesz?

– Bardzo dobrze. A ty, droga matko?

– Niestety – powiedziała mi – ceremonia składania przez kogoś ślubów przejmowała mnie zawsze niepokojem; ale o żadną nie doznawałam troski tak głębokiej jak o ciebie. Bardzo bym chciała, abyś była szczęśliwa.

– Jeżeli zawsze będziesz mnie, matko, kochała, będę szczęśliwa.

– Ach, gdybyż to tylko od tego zależało! Nie myślałaś o niczym w ciągu nocy?

– Nie.

– Nic ci się nie śniło?

– Nic.

– Co się dzieje teraz w twojej duszy?

– Jestem odrętwiała; poddaję się swemu losowi bez wstrętu i bez upodobania; zdaję sobie sprawę, że to nieodparta konieczność, i nie opieram się już. Ach, moja droga matko, nie czuję wcale tej słodkiej radości, tego drzenia, tej zadumy, tego słodkiego niepokoju, jakie niekiedy dostrzegałam w tych, które znajdowały się w takiej sytuacji jak ja dzisiaj. Jestem otepiała, nie potrafię nawet płakać. Chcą tego – trzeba to zrobić, oto jedyna myśl, co mi przychodzi do głowy... Ale ty, matko, nic mi nie mówisz.

– Nie przyszedłam, żeby z tobą prowadzić rozmowy, lecz żeby cię zobaczyć i wysłuchać. Czekam na twoją matkę; postaraj się mnie nie wzruszać; pozwól moim uczuciom gromadzić się w mej duszy; gdy ją napełnią, wyjdę. Muszę milczeć, znam siebie; stać mnie tylko na jeden poryw, ale gwałtowny, i nie w twojej obecności powinien się on wyładować. Leż jeszcze chwilę, żebym cię mogła widzieć; powiedz mi tylko kilka słów i daj mi wziąć tutaj to, czego szukam. Pójdę sobie, a Bóg sprawi resztę...

Umilkłam, pochyliłam się nad poduszką, wyciągnęłam do niej rękę, którą ona ujęła. Wydawała się pogrążona w rozmyślaniach, w głębokich rozmyślaniach – kurczowo zaciskała powieki, czasami otwierała oczy, wznosiła je w górę i zwracała je znów na mnie; była niepokojna; jej dusza napełniała się zamętem, uciszała się i znowu ogarniał ją niepokój. Doprawdy, ta kobieta urodziła się, żeby być prorokinią, miała taką twarz i taki charakter. Była niegdyś piękna, ale wiek zacierając rysy i tworząc głębokie zmarszczki dodawał jeszcze dostojności jej fizjonomii. Oczy miała małe, lecz zdawały się bądź patrzeć w głąb niej samej, bądź przenikać przedmioty w pobliżu i rozpoznawać poza nimi, na wielką odległość, zawsze coś z przeszłości lub z przyszłości. Chwilami mocno ścisnęła mi dłoń. Nagle zapytała mnie, która godzina.

– Dochodzi szósta.

– Do widzenia, idę. Przyjdą cię ubrać; nie chcę być przy tym, to by mnie oderwało od moich myśli. Troszczę się teraz tylko o jedno, żeby zachować umiar w pierwszych chwilach.

Zaledwie wyszła przełożona, zjawiła się mistrzyni nowicjatu z moimi towarzyszkami; zdjęto mi strój zakonny, włożono ubranie świeckie; jest to znany panu zwyczaj. Nie słyszałam nic, co dookoła mnie mówiono; stałam się prawie automatem; nic nie docierało do mojej świadomości; tylko od czasu do czasu wstrząsały mną konwulsyjne drżenia. Mówiono mi, co mam robić; często musiano mi to powtarzać, gdyż nie słyszałam za pierwszym razem, i dopiero wtedy robiłam, co mi polecono; nie dlatego, żebym myślała o czym innym, lecz że byłam zaabsorbowana; głowa mi ciążyła jak człowiekowi przemęczonemu rozmyślaniami. Tymczasem przełożona rozmawiała z moją matką. Nigdy się nie dowiedziałam, co się rozegrało podczas tego spotkania, które trwało bardzo długo; tylko tyle mi powiedziano, że gdy się rozstały, moja matka była tak zdenerwowana, że nie mogła trafić do drzwi, którymi weszła, a przełożona opuściła rozmównicę opierając splecione ręce o czoło.

Tymczasem uderzono w dzwony; zeszłam do kościoła. Osób było niewiele. Wygłoszono do mnie naukę – dobrą czy złą nie wiem, nic nie słyszałam; robiono ze mną, co chciano, podczas tego całego ranka, który jak gdyby w moim życiu nie istniał, gdyż nigdy nie uświadomiłam sobie, jak długo to trwało; nie wiem, ani co robiłam, ani co mówiłam. Niewątpliwie zadawano mi pytania, niewątpliwie odpowiadałam na nie; złożyłam śluby, ale nic z tego nie pamiętam i zostałam zakonnice w sposób równie bierny, jak zostałam chrześcijanką; nie więcej rozumiałam z całej ceremonii składania ślubów niż z ceremonii chrztu, z tą tylko różnicą, że jeden obrzęd udziela łaski, a drugi zakłada jej istnienie. Ale mimo że nie protestowałam w Longchamp, jak to uczyniłam w klasztorze Panny Marii, czy pan mnie uważa za bardziej teraz związaną? Odwołuję się do pańskiego sądu; odwołuję się do sądu Boga. Byłam w stanie tak głębokiego przygnębienia, że w kilka dni potem, gdy oznajmiono mi, że należę do klasztorowego chóru, nie rozumiałam, co chciano przez to powiedzieć. Zapytałam, czy to prawda, że złożyłam śluby; chciałam zobaczyć swój podpis na akcie profesji: trzeba było dołączyć do tych dowodów świadectwo całego zgromadzenia zakonnego i kilku osób obecnych, wezwanych do wzięcia udziału w ceremonii. Zwracając się kilka razy do przełożonej pytałam: „A więc to prawda?...”, i zawsze oczekiwałam, że odpowie: „Nie, moje dziecko, wprowadzają cię w błąd...”. Jej kilkakrotne zapewnienie, że tak jest istotnie, nie przekonywało mnie, bo nie mogłam pojąć, jak to być mogło, żebym w ciągu całego dnia, tak burzliwego, tak urozmaiconego, tak pełnego chwil osobliwych i uderzających, nie przypomniała sobie żadnej okoliczności, nawet twarzy tych sióstr, które mi usługiwały, ani twarzy księdza, co wygłosił naukę, ani

tego, co przyjął moje śluby; zmiana stroju zakonnego na ubiór świecki to jedyny fakt, który sobie przypominam; od owej chwili byłam w fizycznym sensie obłąkana. Całe miesiące musiały upłynąć, żebym wydobyła się z tego stanu; całkowitą niepamięć tego, co zaszło, przypisuję temu, że tak długo trwała ta swego rodzaju rekonwalescencja: było to tak, jak z tymi, co przebyli długą chorobę, rozmawiali przytomnie, przyjęli ostatnie sakramenty, a po powrocie do zdrowia nic z tego nie pamiętają. Widziałam szereg takich przykładów w klasztorze i powiedziała sobie: widocznie to się ze mną zdarzyło w dniu składania ślubów. Ale nie wiadomo jeszcze, czy są to świadome ludzkie czyny i czy człowiek bierze w nich udział, chociaż pozornie tak się wydaje.

W tym samym roku poniosłam trzy ważne straty: stratę mojego ojca lub raczej tego, który za ojca uchodził; był w podeszłym wieku, dużo pracował; zgasł; stratę mej przełożonej i stratę mojej matki.

Czcigodna zakonnica zawczasu poczuła, że zbliża się jej ostatnia godzina; skazała się na milczenie, kazała wnieść trumnę do swej celi. Straciła sen i spędzała dni i noce na rozmyślniach i pisaniu – pozostawiła po sobie piętnaście rozmyślań, które mnie osobiście wydają się nadzwyczaj piękne; mam ich odpis. Gdyby pan kiedyś był ciekaw poznać myśli, jakie nasuwają się w ostatnich chwilach, mogłabym panu dać je do przeczytania; noszą tytuł: *Ostatnie chwile siostry de Moni*.

Kiedy zbliżała się śmierć, kazała się ubrać; leżała na łożku; opatrzone ją ostatnimi sakramentami, w rękach trzymała krucyfiks. Było to w nocy; zapalone gromnice oświetlały tę ponurą scenę. Otaczałyśmy ją zalewając się łzami, w celi rozlegały się krzyki, gdy raptem oczy jej zabłyśły; nagłym ruchem uniosła się na łożku, zaczęła mówić; głos miała prawie tak mocny jak wtedy, gdy była zdrowa; dar, który utraciła, powrócił jej – jęła nam wyrzucać łzy, które, zda się, zazdrościły jej wielkiego szczęścia. „Moje dzieci, wasz ból zwodzi was. Tam, tam, mówiła wskazując niebo, będę wam służyła; oczy moje będą się opuszczały ustawicznie na ten klasztor, będę zawsze waszą orędowniczką i Bóg mnie wysłucha. Zbliźcie się wszystkie, abym was mogła ucałować; przyjmijcie moje błogosławieństwo i moje pożegnanie...”. Przy wymawianiu tych ostatnich słów oddała ducha ta wyjątkowa kobieta, która zostawiła po sobie żal nieskończony.

Moja matka umarła po powrocie z niewielkiej podróży, którą odbyła pod koniec jesieni, do jednej ze swoich córek. Miała zmartwienia, bardzo podupadła na zdrowiu. Nigdy nie dowiedziałam się ani nazwiska mego ojca, ani danych dotyczących mego urodzenia. Książdz, który był spowiednikiem mojej matki i moim, wręczył mi w jej imieniu małą paczkę; było tam pięćdziesiąt ludwików z pismem, zawiniętych i zaszytych w kawałek płótna.

To pismo brzmiało tak:

„Moje dziecko, to jest bagatela, ale sumienie nie pozwala mi rozporządzać większą kwotą; to reszta tego, co mogłam zaoszczędzić z drobnych upominków pana Simonin. Żyj świętobliwie – to jest najlepsze, nawet dla twego szczęścia na tym świecie. Módl się za mnie; twoje urodzenie jest jedyną poważną winą, którą popełniłam; pomóż mi ją odpokutować, i oby mi Bóg przebaczył, że wydałam cię na świat, biorąc pod uwagę dobre uczynki, jakie spełniasz. Zwłaszcza nie wnoś zamętu do rodziny; i chociaż wybór stanu, do którego wstąpiłaś, nie był tak dobrowolny, jak byłabym pragnęła, strzeż się go zmieniać. Czemuż nie zostałam zamknięta w klasztorze na całe życie! Nie niepokoiłaby mnie ta myśl, że w pewnej chwili trzeba stanąć na straszliwym sądzie. Pomyśl, moje dziecko, że los twojej matki na tamtym świecie w dużym stopniu zależy od twojego sprawowania się na tym: Bóg, który widzi wszystko, zaliczy mi w sprawiedliwości swojej wszystkie twoje dobre i złe uczynki. Żegnaj, Zuzanno; nie zwracaj się o nic do twoich sióstr; one nie są w stanie przyjść ci z pomocą; nie spodziewaj się niczego po twoim ojcu, on mnie wyprzedził, ujrzał już wielkie światło, oczekuje mnie; moja obecność będzie mniej straszna dla niego niż jego obecność dla mnie. Żegnaj raz jeszcze! Ach, nieszczęśliwa matka! Ach, nieszczęśliwe dziecko! Siostry twoje przybyły; nie jestem z